

Anna Strońska

PROSTAK

SZTUKA W TRZECH AKTACH

OSOBY:

KOMENDANT, zwierzchnik posterunku dawniej MO, obecnie policji

KSIĄDZ, z temperamentu działacz-odnowiciel

ŁOPUCHOWA, miejscowy człowiek interesu, w wieku pobalzakowskim

JABŁUSIAK
WEREDA } rolnicy

DZIENNIKARZ, w pierwszym akcie może nosić brodę, którą zrzuca przed trzecim

ON, persona do identyfikacji

AKT I

Akcja toczy się w typowej wsi z paskudną nową zabudową. Jeden z szyldów anon-suje „Warsztat samochodowy «Supernowość». Diagnostyka zagraniczna. Łopuch & Łopuch świadczą usługi po katolicku”. Widać też drogowskaz „Posterunek poli-cji 50 m. Zapraszamy serdecznie”.

Łopuchowa z Weredą wynoszą z budynku z napisem „Biblioteka”, książki, które zrzucają na stertę. Jabłusiak próbuje rozmontować neon. Z boku przygląda się temu zde gustowany Komendant.

JABŁUSIAK (ogląda się, czy nikogo nie ma) Towarzyszu komendancie...

KOMENDANT Ty psiakrwio durna, zamknij pysk.

JABŁUSIAK No dobrze, ale co zrobić z tą legitymacją?

KOMENDANT Stul pysk, mówię.

JABŁUSIAK Przecież nikt nie słyszy!

KOMENDANT Zawsze ktoś słyszy, idioto.

ŁOPUCHOWA (dźwigając drabinę zwraca się do Jabłusiaka) Dobrze, że przyszedł, bo już nie wiem, w co najprzód ręce wsadzić. Pomoże mi?

JABŁUSIAK Co mam nie pomóc.

ŁOPUCHOWA Na drabinę wliż?

JABŁUSIAK Co mam nie wliż. (przerzucając tomy) Całkiem dobre książki.

Poznać, że nieużywane. Szkoda książek. Grube... Co z nimi będzie?

ŁOPUCHOWA A bo dzisiaj się co wie?

JABŁUSIAK I suche... Szkoda książek. Spalić można.

KOMENDANT O nie. Jeszcze czego. My książek nie palimy. Dobrze mówię? Tu nie hitlerowo.

JABŁUSIAK Kiedy bez papieru rozpałka bezskuteczna. Gałązki się nie zajmą.
 ŁOPUCHOWA Ale tam! Nie zajmą mu się. Trzeba umieć podkładać. Ludzie nie to potrafili przed wojną.
Łopuchowa przy pomocy Weredy dźwiga wsparty o ścianę sztyld z napisem „Sex-szop Łoppy — czynny całą dobę”. Jabłusiak wyjmując ze skrzynki plastikowego penisa.
 JABŁUSIAK A to znowu do czego? Bójcie się Boga, tyle lat żyję, a czegoś podobnego nie widziałem. *(do Łopuchowej)* Wyście widziała?
 ŁOPUCHOWA A skąd.
 JABŁUSIAK Ano właśnie. *(wraca do roboty)* Jezu kochany, ależ ten świat do przodu pędzi. Seksa my się doczekali.
 ŁOPUCHOWA Co robić.
 JABŁUSIAK Wszystko aby do przodu, taak... I Łopuchowa stare babsko zrobiła się, a ja ciebie dzieciątkiem pamiętam takim, o. *(pokazuje rękę)* Stała Łopuchowa w samej koszulinie i płakała w niebogłos, że jej mamę zabijają... bo to wtedy było, jak baby tłukły Łopuchowej mamusię nieboszczkę, Panie świeć, za odbieranie krowom mleka... Oj, przestrasznie biły...
 ŁOPUCHOWA No i proszę, nie dziwota, że nas świat wyśmiewa. W dzisiejszych czasach zabobonom wierzyć!
 JABŁUSIAK A co, może nieprawda? Będzie mi tu wmawiała, że krowa się nie przestaje doić od złego spojrzenia?
 ŁOPUCHOWA Nie rozgłaszaj głupot. Do wojny, owszem, były takie wypadki, ale to do pierwszej.
 WEREDA A za Polski już nie?
 ŁOPUCHOWA Chyba że za Stalina.
 KSIĄDZ *(wchodzi)* No, witam wszystkich, witam, pochwalony przy tym pięknym poranku. Pogody Pan Bóg nie poskąpił.
 ŁOPUCHOWA Oj, proszę księdza, suchota taka straszna, że w polu wszystko ginie... Pomodliłby się ksiądz o te trochę deszczu. *(odwraca sztyld napisem do ściany i spycha skrzynkę z phallusami za węgiel)*
 KSIĄDZ Bóg zechce, to pokropi.
Łopuchowa chwyta phallusa, który upadł w trawę i chowa pod fartuchem.
 KSIĄDZ *(rozglądając się)* O, cóż to... Przenosimy bibliotekę?
 WEREDA Zamykamy, proszę księdza. Zamykamy.
 ŁOPUCHOWA E nie, tak źle nie ma, tylko zmiana asortymentu, proszę księdza.
 KSIĄDZ *(udobruchany)* Chyba że tak. Ponieważ bez książki rozpanoszyłyby się na tym bożym świecie zamęt i duchowa czerń. Rozumie się, nie bez każdej książki. Taak... *(do Łopuchowej)* No, a niech powie, co też dobrego będziemy kupowali tutaj u niej.
 ŁOPUCHOWA Bez nadzwyczajności.
 KSIĄDZ Nie chce zapeszyć, co? Nie zdradzi, co nam sprzeda?
 ŁOPUCHOWA Takie tam... Groch, mydło i powidło... Jak to dzisiaj, proszę księdza, jak to dzisiaj.
 JABŁUSIAK Księdzu to niepotrzebne.
 KSIĄDZ *(w dobrej wierze)* No, dlaczego? Wszystko jest dla ludzi.
 ŁOPUCHOWA Święte słowa.
Zapomniała o ukrytym phallusie, który zaczyna nieskromnie wystawać spod fartucha. Wereda próbuje dawać znaki ostrzegawcze, których Łopuchowa nie rozumie i rozkłada ręce, co jeszcze pogarsza sytuację. Ksiądz zobaczył. Ośłupiał cofa się, przeciera skronie dłońmi.
 ŁOPUCHOWA Co to księdzu?
 KSIĄDZ Chyba zmęczony jestem. Takie mam mroczki przed oczami.
 ŁOPUCHOWA *(ze szczerym lękiem)* O mój Boże. żeby nie coś z głową.
 KSIĄDZ No, a jak tam...
 KOMENDANT U Niego? Wygląda, że pracuje.
 JABŁUSIAK *(wesół)* Polecimy, pofruniemy!

KSIĄDZ Żeby z tego gorszej biedy nie było.
 KOMENDANT Nie wygląda.
 JABŁUSIAK Nie musi wyglądać. Gierek jaki miał wygląd, nie? Panisko...
 WEREDA *(ironicznie)* Przyszedł Gierek, zabrał szynkę, rzucił serek.
 ŁOPUCHOWA Co za podlec wymyślił? Za Gierka to już naprawdę źle nie było. U Niemców azyl dawali, w Ameryce dawali, gdzie tylko...
 KOMENDANT Mędrkujecie, byle mędrkować. *(do Jabłusiaka)* Lepiej chodź na papierosa.
Odchodzi z Komendantem na bok, aby mieć warunki do swobodnej rozmowy. Wnętrze stodoły czy szopy. Na podtrzymujących strop sfatygowanych belkach stara uprzęż końska, cepy, lampa naftowa, socha, zdezelowany kołowrotek, skopek na mleko. Na ścianie afisz Lotu, ten z dzieckiem. W szopie stoi wrak myśliwca, wyraźnie po kraksie: kadłub w opłakanym stanie, jedno skrzydło zardzewiałe, pogięte, podwiązane drutem. Drugie, świeżo wycięte z blachy, czeka wsparte o wrak.
 KOMENDANT *(częstuje Jabłusiaka papierosem)* Co to ja chciałem powiedzieć, Jabłusiak... Nastroje są?
 JABŁUSIAK A jak.
 KOMENDANT Mianowicie? *(wyjmuje notes, potem macha ręką i z powrotem chowa notes do kieszeni)*
 JABŁUSIAK *(kokietyryjnie)* A, tam, będę nadawał...
 KOMENDANT Nadawać, ćwoku, to za milicji mogłeś, teraz nie ma kapusiów.
 JABŁUSIAK Obowiązkowo.
 KOMENDANT No.
Chwila ciszy. Palą.
 KOMENDANT A ogółem mówiąc... spokojnie? Buzie na luzie, że się tak wyrażę?
 JABŁUSIAK Jest powszechne zadowolenie, tyle że ludziom już nie starcza cierpliwości.
 KOMENDANT Rzeczywiście, we łbach się poprzewracało.
 JABŁUSIAK *(pobłażliwie)* I myślą. Dzisiaj wszyscy myślą. Narobiło się tych myślących, myślałby kto...
 KOMENDANT Ale to im przejdzie. Masz moje słowo, Jabłusiak.
 JABŁUSIAK Towarzyszu komendancie...
 KOMENDANT Cicho psiakrew, bo tu ludzie chodzą.
 JABŁUSIAK *(pocziwie)* E nie, nikt nie idzie. Panie komendancie, a pan G O już obwąchał?
 KOMENDANT *(zaskoczony)* Jego?!
Jabłusiak milczy.
 KOMENDANT A czemu pytasz?
 JABŁUSIAK *(z determinacją)* A bo mnie się zdaje... niby, że...
 KOMENDANT Dokończ, dokończ. Co ci się wyśniło?
 JABŁUSIAK *(z determinacją)* Że to inteligent.
 KOMENDANT O, psiamucha!
 JABŁUSIAK Siądzie, rozluźuje się w sobie — obce słówko wypuszcza. Ale to jak z nut! Dlatego lepiej, żeby pan komendant zawczasu nabrał rozpoznania.
 KOMENDANT Takie kwiaty. *(wyjmuje notes)* Ładuj!
 JABŁUSIAK *(przestraszony)* Kiedy ja nic nie wiem.
 KOMENDANT Nie szkodzi. Ja ciebie nie proszę, żebyś wiedział, tylko żebyś powiedział. Słówka, jednym słowem... No, ładnie. Słówka. Mianowicie, Jabłusiak? *(czeka z naszykowanym ołówkiem)*
 JABŁUSIAK A gdzieżbym ja spamiętał. Ja mam z górą siedemdziesiąt lat, panie komendancie.
 KOMENDANT Niestety, niestety. Nie przychodzisz z niczym konstruktywnym, Jabłusiak. Ty gównu wiesz w temacie.
 JABŁUSIAK *(nieszczercze)* Tak, musiałem się przesłyszeć.
 KOMENDANT Spokojna kapusta, Jabłusiak, już ja mam nosa do inteligentów. Pewnie, że się tego napleniło jak myszy w komorze, a kto płaci? Naród płaci.

Łopuchowa pełne półtora miesiąca pobyła w Chicago i tam się w ogóle nie słyszy tego słowa. U nich nie ma żadnych inteligentów, tylko sami Amerykanie, a jak żyją.

JABŁUSIAK U nas, przed wojną, źle nie żyli.

KOMENDANT Jabłusiak, a za prawdziwej Polski trafiali się inteligenci?

JABŁUSIAK Głównie między Żydami, u nas rzadziej. Ja widziałem, owszem.

KOMENDANT No, akurat! Tutaj?!

JABŁUSIAK A dziedzic?

KOMENDANT Dziedzic to nie inteligent, tylko pan. To jest różnica.

Z głębi sceny, spoza samolotu słychać czyjś chichot.

JABŁUSIAK O, kurde!

KOMENDANT Kto jest?! (chwytając za kaburę) Wyłazić!

Wywlekają z ukrycia Dziennikarza. Popychają, szarpią z narastającą chłopską furią. W drzwiach staje Wereda.

WEREDA Kogo ja widzę? Redaktor?

KOMENDANT Ten sam.

WEREDA Wrócił?

JABŁUSIAK Łazi?

KOMENDANT Węszy?

DZIENNIKARZ Ależ panowie, dajcie spokój, ja...

KOMENDANT Miał powiedziane, żeby tu śladu po nim. Było tak?

DZIENNIKARZ Jeśli nawet, to nikomu nie wolno... nie możecie...

KOMENDANT Możemy.

WEREDA A widać możemy.

JABŁUSIAK Jeszcze jak możemy.

DZIENNIKARZ Ależ to bezprawie. Ostatecznie żyjemy w wolnym kraju...

WEREDA (doskakując do Dziennikarza potrząsając mu pięścią przed oczami) Te, demokrata! Z kogo łacha drzesz? Nie trafiłeś na ciemnych...

JABŁUSIAK Jajogłowy, psia... kształcony...

KOMENDANT Na razie nie bij, Wereda, a ty, Jabłusiak, stul wreszcie pysk.

DZIENNIKARZ Też niegłupio.

KOMENDANT Nie przypodchlibiać się, bo i tak gównu z tego. Pytam się na razie grzecznie: kto pozwolił?

DZIENNIKARZ Nikt.

KOMENDANT Acha, nikt... Kieszenie.

DZIENNIKARZ (nie rozumiał) Jakie kieszenie?

KOMENDANT Twoje. Na stół. Wszystko.

Dziennikarz niechętnie, niemniej posłusznie prezentuje zawartość kieszeni.

KOMENDANT Wszystko?

DZIENNIKARZ Oczywiście.

KOMENDANT Dawaj. (zdzierając z Dziennikarza marynarkę i wyjmując z wewnętrznej kieszeni zapisane kartki) Tak, teraz to się zgadza. Wszystko.

JABŁUSIAK (z podziwem) O, skubany...

WEREDA Co tam napisane?

KOMENDANT (czytając) Wzleci czy nie wzleci? Zielone światło dla śmiałka. Czyżby nowa opcja polityczna? Informacja własna. Jak się dowiadujemy, w miejscowości (zaciera nazwę, mruczając niewyraźnie, potem mnie przeczytane kartki) No, paniczku... czego tutaj?

JABŁUSIAK Przyszedł na przesłpiegi.

WEREDA A ty, w mordę skubany...

JABŁUSIAK Dołóż mu, Wereda!

DZIENNIKARZ Ależ panowie, uspokójcie się, ja jestem z redakcji...

KOMENDANT Zostaw człowieka, Jabłusiak. (do Dziennikarza) Co tu robisz?

DZIENNIKARZ Oglądam samolot.

KOMENDANT Chwilowo nie ma nic do oglądania. To tajny obiekt.

DZIENNIKARZ Tajny? Człowieku, o was już świat huczy.

KOMENDANT (udobruchany) E tam, rzeczywiście...

DZIENNIKARZ Wszędzie głośno.

KOMENDANT Mówią?

JABŁUSIAK No, pomyśleć... mówią...

WEREDA Jakby nie chciał, to by nie mówili.

DZIENNIKARZ Ale w co tu się gra? Co wy w nim widzicie?

WEREDA Długo by gadać.

JABŁUSIAK My wiemy, i wystarczy.

DZIENNIKARZ Przecież nikt go nie zna. Kto, co, skąd — nie wiadomo. Meteor, cholera. Dlaczego broni się przed fotografowaniem? Nie chce świadków?

WEREDA Skromny gość. Nie łasy na zaszczyty.

JABŁUSIAK Prawdziwy pan dla ludzi.

WEREDA Użyli my za dawnej władzy, jak pies w studni. Teraz będzie inaczej.

JABŁUSIAK Musowo.

WEREDA Przebrała się miarka, panie ładny. My już nie chcemy żadnej rewolucji.

Trzeba będzie, to się chwyci za batogi, za kije, za kłonicę, to się pójdzie, kto z kosą, a kto z karabinem, ale na żadne socjalizmy czy kapitalizmy już się naród nie nabierze.

KOMENDANT Ano właśnie. Póty ucho nosi, aż się woda urwie. Zawsze to powtarzam.

DZIENNIKARZ No, a jaki on ma program?

WEREDA Tak ze wszystkim od razu to się w tym człowiek nie połapie, ale nie szkodzi. Ważne, żeby On wiedział.

DZIENNIKARZ (z kpinką) Jeszcze jeden, co wie za nas?

KOMENDANT (z pogroźką) Żarcików się zachciało? Uważaj, ty... piśmienny.

WEREDA Byle mącić, byle wiarę odbierać. Judzi, psia, a nie widzi sedna. Panie, przecież to niebywała rzecz! Samolot bez fabryki. I wszyscy jak jeden. Ja też. Tą rodzoną ręką. Pomyśl pan. Przez chwilę sam pan pomyśl. Ale tak sam od siebie, nie stronniczo, no?

Dziennikarz milczy.

KOMENDANT (z triumfem) A widzisz pan. Czyli jest jak mówię.

JABŁUSIAK Bo to trzeba spokojnie z obydwu boków brać, panie ładny.

KOMENDANT Tu zwyczajna miotła nie wystarczy. Tak powiedział. Gołym włosem nie zamiecie. Tu by trzeba do miotły brzytwę wczepić, żeby wygoliła brudy.

WEREDA Utrafione, nie? Płakali my jak bobry... On też...

Komendant wyciąga kasety poupychane po kieszeniach, przegląda, sprawdza, wreszcie włącza.

ON (z taśmy. Tekst przebija się przez pogłos aplauzu) ...dlatego jak mnie zapytacie: no, ale co zrobić, żeby dobrze było? Odpowiedź jest: tak robić, żeby dobrze było (aplauz wzmacnia się, okrzyki: *Racja! Tak jest! Prawda!*)

WEREDA Przejadło nam się, panie. Toteż i przyobiecał, że zorganizuje przyzwoitość i porządek. Na własne uszy słyszałem.

Komendant ponownie włącza magnetofon.

ON (z taśmy) ...przyzwoitość i porządek. Musi być inaczej rozliczane. Jak najbardziej daję ze szczerą i nieprzymuszoną ręką w tym wypadku. Wy mnie okażcie cierpliwość, a ja wam okażę zaufanie. Do tego dodajemy kategorie ekonomiczne i o co więcej chodzi? Można wyjść na proste.

DZIENNIKARZ Toż to bełkot!

WEREDA (podrywając się) Panie... bo w mordę.

JABŁUSIAK I to by było dobrze.

KOMENDANT Nie kuś, nie kuś.

WEREDA (rozpalając się wizją) Z nimi trzeba jak trzeba, nie rozprawiać tylko łać, po gnatach, po pysku... Kto ręką, kto narzędziem, ale bić, łańcuchem, kłonicą, widłami, siekierką...

KOMENDANT (bawiąc się zmietymi kartkami odebranymi redaktorowi) I co tam jeszcze dopisze? Jak nas straszyl? Jak groził?

DZIENNIKARZ Pan zwariował.

KOMENDANT Znaleźliby się świadkowie... prawda, Jabłusiak? Jest do zrobienia? JABŁUSIAK A, to można.

DZIENNIKARZ Dzisiaj, takim tonem? Komendancie, to już są sposoby archiwalne.

KOMENDANT Powiadasz?

Chwila napiętej ciszy. Mierzą się oczami.

KOMENDANT *(do Jabłusiaka i Weredy)* Wiąźcie go.

Tamci doskakują, wykręcają Dziennikarzowi ręce do tyłu i unieruchamiają w twardych uchwytach.

KOMENDANT *(do Jabłusiaka)* Szykuj wódeńkę!

Jabłusiak podaje flaszkę z samogonem. Wereda chwyta szamoczącego się Dziennikarza za szczękę, zmuszając go do otwarcia ust, w które Komendant wlewa strumieniem samogon.

KOMENDANT Spileś się, pismaku? A to niedobrze. Nawet bardzo niedobrze.

Mogą być przykrości. Nie chleje się w trakcie pełnienia obowiązków. Za to można... na pysk...

DZIENNIKARZ *(bełkotliwie)* Chamy zjadaczone!

JABŁUSIAK Śpij pan, śpij. Co złego to nie my.

WEREDA *(żarliwie)* Pan pomyśli, panie ładny. Pan dobrze pomyśli. Co myśmy mieli tutaj?

JABŁUSIAK Bida i maruda, to było nasze życie.

DZIENNIKARZ *(cicho)* Było?

WEREDA A tak! Bo to się teraz zmienia.

JABŁUSIAK Na sto procent.

DZIENNIKARZ Skąd wiecie?!

KOMENDANT, JABŁUSIAK, WEREDA *(jednocześnie)* Powiedział.

KOMENDANT *(do Jabłusiaka i Weredy)* Przyłóżcie mu tam, żeby się nie przecknął, a ja idę po księdza. *(bierze z kąta siekierę)*

WEREDA O Jezu, to aż tak?

JABŁUSIAK Mówi się trudno. Ale ty go wykończ, Wereda, boś młodszy. Ja już nie mam tej ręki, co kiedyś.

KOMENDANT Spiliście się? Księdza trza sprowadzić, bo rozchodzi się o świadka, że ten dany osobnik wprawił się w stan nietrzeźwości i zakłócał, zanim popadł w stan patologiczny. *(podaje Weredzie siekierę)* Nie ostrzem, Boże broń! Łupnij delikatnie, bo uszkodzisz człowieka.

WEREDA W porządku, tylko do czego tu ksiądz?

KOMENDANT Do wiarygodności, idioto. Do wiarygodności.

Słychać zbliżające się głosy. Nadchodzą Ksiądz i Łopuchowa.

KOMENDANT O księdzu mowa, a wilk... znaczy ksiądz o wilku, a...

KSIĄDZ Podchmieliłeś sobie? Wcześniej.

KOMENDANT Służba nie druźba.

ŁOPUCHOWA *(wesół)* Ruch w naszym airporcie! *(wymawia: ajirporcie)*

JABŁUSIAK Gdzie?!

ŁOPUCHOWA *(pobłażliwie)* Airport, po naszymu lotnisko. Z rozpędu mnie się wymówiło. Jak już człowiek przywyknie...

KSIĄDZ *(łaskawie)* Proszę proszę, poznać, że Łopuchowa z szerokiego świata wraca. No, i jak tam żyją?

ŁOPUCHOWA Dla mnie może być.

KSIĄDZ Taak, gdzie nam jeszcze do Europy.

JABŁUSIAK E, to się nadgoni.

KOMENDANT Europa pestka, lepiej byśmy się zrównali z Ameryką, no nie?

Powiedz Łopuchowa, boś ty jest zorientowana.

ŁOPUCHOWA *(swobodnie)* A owszem, już myślałam o tym, nawet polemizowali my w Chicago ze szwagrem, że warto by.

JABŁUSIAK Musowo.

Dziennikarz stęknął. Komendant pacyfikuje go nieznacznym, ale skutecznym kopnięciem. Wereda, nucąc „Jasieńkowi nic nie trzeba już...” zajadłe czyści śmigło samolotu z rdzy.

KSIĄDZ *(bez przekonania)* No, ładnie to idzie, zupełnie przyzwyczajcie... tak... *(dotyka skrzydła)* Swoją drogą na mocne nie wygląda.

WEREDA Bo nie pomalowane.

KSIĄDZ Ale wytrzyma?

WEREDA Powinno.

KSIĄDZ Nie chciałbym gasić zdrowego zapału, ale...

WEREDA Oj, proszę księdza, przecież to na jeden raz.

KSIĄDZ *(z westchnieniem)* Ja rozumiem, rozumiem.

WEREDA Najwyżej przeciągnę dubeltowo farbą na spojeniach. Co się ksiądz przejmuje?

ŁOPUCHOWA To kiedy startujemy?

KOMENDANT Postanowiliśmy chwilowo nie rozgłaszać. To jest duży manewr, a w dzisiejszych czasach, terroryzm, rozumiecie, i tak dalej.

KSIĄDZ O, tak. Nihilizm... Ateizm...

KOMENDANT No mówię. U nas to jeszcze idzie wytrzymać, ale tam, gdzie ludziom dobrze jest, to nie sposób wyżyć.

KSIĄDZ AIDS, Boże nie daj...

WEREDA Ale wzleci?

KOMENDANT Musowo.

KSIĄDZ Poszybuje biały, bieluchny jak gołąbek.

KOMENDANT Pokoju.

KSIĄDZ Wiary, przede wszystkim. Zaniesie łanom, lasom pomyślną nowinę.

KOMENDANT Otóż to.

KSIĄDZ I to jest powód do radości, ale i do zadumy nad możliwościami ludzkiego rozumu i rozwoju. Tu się da wykazać, ile zdziałać może modlitwa w połączeniu z pracą rąk, ewentualnie rozumu, choć ten aspekt już wymaga ostrożności. *(zauważa, że Komendant notuje)* Nie trzeba, dziecko. Już nie trzeba.

KOMENDANT *(do siebie)* Tak się mówi.

ŁOPUCHOWA *(bez przekonania)* I dotrzyma terminu? Da radę?

JABŁUSIAK A co ma nie dać.

WEREDA „Nie przychodź do was jako kręt kombinator czy nawet profesor albo inny biskup”. To wyraźnie powiedział. Byłem przy tym.

KSIĄDZ *(w zadumie)* Wymienił biskupa?

KOMENDANT *(tagodząco)* Chlapło mu się.

Dziennikarz ocknął się — z kąta dobiega chichot.

KSIĄDZ *(zniecierpliwiony)* A komu tam tak wesoło?

KOMENDANT Przyplątał się... redaktor czy coś podobnego...

JABŁUSIAK Wypił żdziebko.

KSIĄDZ Sodoma Gomora z wami. Dnia bez wódki.

KOMENDANT Co zrobić. Są ludzie i ludziska. Ale zwalczać się zwalcza.

Ksiądz z ostrożnością, niemniej — z aprobatą, znów ogląda samolot.

KSIĄDZ Czekajcież złościutcy... a jakże pilot tą maszynką pokieruje, bo nie widzę siedzenia? Na stojąco?

WEREDA Jest siodełko, jest, tyle że nie wmontowane. Wzięliśmy z tego traktora, co go młodszy Łopuch rozwalił po pijaku.

ŁOPUCHOWA Od razu: rozwalił. Przysnął, i się omsknął.

DZIENNIKARZ *(szydlerczo)* A silnik jest?

KOMENDANT *(groźnie)* No... panie ładny?!

KSIĄDZ *(zdetonowany)* Wolne żarty, łaskawco. Wolne żarty.

DZIENNIKARZ Ludzie, przecież to obłąkany pomysł. Chcecie nieszczęścia?

JABŁUSIAK *(szczerze zdziwiony)* Jakiego znów nieszczęścia?

DZIENNIKARZ Jeśli nawet zdoła wystartować, w co wątpię, to rozleci się w powietrzu!

KOMENDANT (*szyderczo*) Bo pan tak powiedział?

JABŁUSIAK (*z przekonaniem*) Siedemdziesiąt z górą czekałem... Nie ma prawa się rozbić.

ŁOPUCHOWA Jezusie, żeby się tylko na jaką zgubę nie obróciło.

KOMENDANT Nie kracz, bo i mnie samemu nerwy tańczą. Jeszcze wszystko kropidłem po wodzie. Taka jest prawda. Dojść do czego, to nie z naszym narodem.

WEREDA Tak jakby.

JABŁUSIAK Tak jest! Nigdy, przenigdy.

KSIĄDZ (*zadumany*) Pozwól no tu, Wereda, bo może nie za dokładnie zrozumiałem... Czyli co to było mówione o biskupie?

WEREDA A, już nie powtórzę.

KSIĄDZ (*łagodnie*) Powtórzysz.

WEREDA (*zgnębiony*) Nie pamiętam.

KSIĄDZ To sobie przypomnisz.

WEREDA Ale tam. Po diabła?

KSIĄDZ (*spokojnie*) Diabła nie nawołuj, bo on na to czeka. Dzisiaj nie pamiętasz, a jutro? Co będzie jutro? Nie przyjdiesz się spowiadać?

WEREDA (*zdetonowany*) Jakże nie...

KSIĄDZ (*dobrodusznie*) No widzisz.

JABŁUSIAK Proszę księdza, a skąd wystartuje?

KOMENDANT (*niepewnie*) Najlepiej z boiska.

WEREDA Nie za krótkie?

ŁOPUCHOWA A co to ma do rzeczy? Najwyżej samolot wcześniej się poderwie.

DZIENNIKARZ (*zaśmiewając się*) Matko Boża, jak ja to wszystko pchnę do druku...

WEREDA (*zdławionym głosem*) Coś powiedział? (*dostrzegł siekierkę i podnosi*) Zatlukę.

DZIENNIKARZ (*przerażony*) Ależ proszę pana, ja nic złego... serio...

WEREDA (*charcząc z furii*) Łajza, psia!... (*gwałtownie podnosi siekierę*)

Dziennikarz kuli się szlochając. Siekiera zawisa nad jego głową.

WEREDA Co ty myślisz, gnoju? Co ty sobie myślisz?

DZIENNIKARZ Ależ ja nie myślę!

WEREDA Wcale?

DZIENNIKARZ Nic a nic.

WEREDA Słowo?

DZIENNIKARZ Jeszcze jakie!

WEREDA (*podrzuca siekierę*) Twoje szczęście, człowieku, bo żeby to kłonica, już by było po tobie. Kłonica łżej chodzi. Rękę mam trochę nie ułożoną do siekiery, a na nie przyzwyczajonego nie lubię. Coś ty taki błąd?

DZIENNIKARZ Od kłownicy, to znaczy... Czemuś mi w gardle zaschło. Wie pan, dławii mnie, jak siekiera w gardle... Śmieszne uczucie, siekiera w przetyku. Przekomiczne. (*łapie spazmatycznie powietrze*) Napiłbym się. Strzelimy po kielichu?

WEREDA (*powoli opuszczając siekierę*) A niech ci będzie. Nie jestem zawzięty.

DZIENNIKARZ Chodźmy na wódkę. Ja stawiam.

WEREDA Niech będzie. No, bracie, twoje duże szczęście, żeś trafił na Europejczyka.

Odrzuca siekierę. Obejmują się i wychodzą.

AKT II

Późne popołudnie. Wnętrze sex-shopu. Na półkach obok wibratorów, plastikowych penisów dość zaskakujące tu towary rodem ze sklepu spożywczego oraz kiosku „Ruchu”: kompoty w słoikach, „Tygodnik Powszechny”, „Nowa Europa”, proszki do prania. Łopuchowa za ladą, wyelegantowana, z mocnym makijażem. Wchodzi Jabłusiak.

JABŁUSIAK Dzieńdoberek. Jak zdrowko?

Łopuchowa nie odpowiada. Jabłusiak ogląda towar. Grzebie się, widać, że nie zamierza kupować.

ŁOPUCHOWA (*surowo*) Bierze coś?

JABŁUSIAK (*z majtkami w garści*) Zaraz, zaraz, kota w worku nie kupię. (*rozciąga majtki*) Łopuchowa, a jak to na świecie jest... te ich... panienki, znaczy... faktycznie w takich siedzą? Na wystawie?

ŁOPUCHOWA Już się wczoraj pytał. Powiedziałam, że siedzą, to siedzą.

JABŁUSIAK Na wystawie?

ŁOPUCHOWA Za te pieniądze sam by usiadł.

JABŁUSIAK U nas też można by urządzić. Tu jest dobry punkt. Blisko do pekaesu...

ŁOPUCHOWA Niby kto ma siedzieć na wystawie? Ja?

JABŁUSIAK Nie, aż tak to nie. (*odkłada majtki. Bierze pejcz*) Koński?

ŁOPUCHOWA (*znieczierpliwiona odbiera mu pejcz i z powrotem zawiesza na ścianie*)

Oj, Jabłusiak, Jabłusiak. Ożeniłbyś się, albo jak.

JABŁUSIAK A mnie to na co. Ja mam emeryturę.

WEREDA (*wchodzi*) Pochwalony.

ŁOPUCHOWA Nie w takim miejscu pochwalony, już mówiłam.

WEREDA No to dzień dobry.

ŁOPUCHOWA Dzień dobry. Co dać?

WEREDA A jak zwykle. (*rozgląda się z zaciekawieniem*)

Łopuchowa wyjmuje spod lady bochenek chleba i podaje Weredzie, który odlicza należność.

WEREDA I coś do popicia.

ŁOPUCHOWA O nie, monopol to nie u mnie.

KOMENDANT (*wchodzi*) Łopuchowa? Co to niby ma być? Galanteria męska, jak było zgłaszane czy jakaś garmażerka? (*przygląda się penisom na półce, sceptycznie*) I ktoś to kupuje?

ŁOPUCHOWA U nas wszystko kupią.

KOMENDANT Takie kwiaty. (*sięga po atrapę*)

ŁOPUCHOWA (*ostro*) To nie jest do zabawy.

KOMENDANT (*ze wzgardą*) Ii... tym by się kto bawił.

ŁOPUCHOWA Święte słowa. Pan się poczęstuje piwkiem, panie komendancie. (*sięga po puszkę*)

KOMENDANT (*przeogląda pisma pornograficzne*) Nie przy nas pisane, jak to się mówi. Cholera wie, o co tutaj chodzi. No, dobrze. (*bierze puszkę*) A garmażerki niech nie trzyma przy tym. (*wskazuje na phallusy*)

ŁOPUCHOWA E, panie komendancie, przecież to nie używane, pan sprawdzi...

KOMENDANT Miałbym co do ręki brać.

ŁOPUCHOWA (*konfidencko*) Karkówka świeża jest. I wołowe bez kości.

KOMENDANT (*nieuważnie, bo kartkuje „świerszczyki”*) No, i bardzo dobrze. Byle mi tu Gomory Sodomy nie było. Chude to wołowe? Jak bez kości, to bym nawet wziął z półtora kilo.

ŁOPUCHOWA Dwa, panie komendancie. Dla równości, dwa. Piękne jest.

KSIĄDZ (*wpada zdenerwowany*) No, i stało się. Już po wszystkim.

WEREDA (*w osłupieniu*) O Jezu! Ruscy weszli czy Litwini?

KSIĄDZ Kto, gdzie?! Od rana pijesz? Przecie ja o Nim mówię, o Nim, że się rozmyślił!

ŁOPUCHOWA Co?

KSIĄDZ To co słyszysz. Nie polec. Nie chce.

KOMENDANT (*wyciera twarz chustką*) Takie kwiaty.

KSIĄDZ Dopiero jak się tu poprawi. Według Niego trzeba na to paru lat.

WEREDA (*zaskoczony*) Już paru?

KSIĄDZ Sam się zdziwiłem, bo na początku stawiał znośniejsze terminy.

KOMENDANT Puściło się do gazet... Zjadą goście...

ŁOPUCHOWA Najgorszy ten wstyd, ludzie kochani. Wstyd, bo świat się z nas obśmieje...

WEREDA Z Niemców się nie śmieją. Z Czechów się nie śmieją.

KOMENDANT Otóż to. Nawet z Czechów. *(pauza)* Cma mi w ucho, mam!

Wszyscy skupiają się wokół niego, zaintrygowani.

KOMENDANT Niech leci Jabłusiak.

ŁOPUCHOWA Czemu nie? Człowiek starszy, nie karany...

JABŁUSIAK Kiedy mnie tu dobrze.

ŁOPUCHOWA Droczy się jak gówniarz. Polecisz, polecisz.

JABŁUSIAK Za nic.

KOMENDANT *(bez przekonania)* Mógłbyś się poświęcić dla dobra ogółu.

JABŁUSIAK Jeszcze czego! Jak ja mam siedemdziesiąt z górą, to mnie się coś należy od życia, tak czy nie?

KSIĄDZ To już we własnym sercu i sumieniu zadecydujesz, Jabłusiak, warto ci czy nie warto dla dobra ogółu, we własnym, powiadam, bo ja się do polityki nie wtrącam, ani nie naciskam. Na pewno nie ty pierwszy ani nie ty ostatni powiadasz — moja chata z kraja, i choć nie można brać tego postępowania za wzór, nie potępiam, boję, ale nie potępiam.

ŁOPUCHOWA A pewno, że kto by na sumienie brał, o Jezu.

KOMENDANT Znaczy — uwieźliśmy, i w tył zwrot? Musu nie ma, Jabłusiak, ale żebyś nie żałował. *(rozgląda się)* No to kto na ochotnika? Nie ma chętnych. Niedobrze. Trudno i darmo, róbmy wolne wybory. Łopuchowa, kogo byś widziała?

ŁOPUCHOWA *(z pełnym przekonaniem)* Siebie. Polecieć nie polecę, bo by mnie zemdliło, ale mogę przemówić.

KSIĄDZ Mając do wyboru, już bym wołał Jabłusiaka pokazać. Mniejszy wstyd.

KOMENDANT I w porządku! Pchniemy dziadka na forum.

KSIĄDZ *(sceptycznie)* Z czym?

KOMENDANT A z partyzantką. Walczył? Walczył. Jest człowiek historyczny? Jest.

JABŁUSIAK *(zaniepokoiony)* Tak za dokładnie żebym co pamiętał, to nie, zresztą to wszystko było tajemnicą objęte.

KOMENDANT *(zachęcająco)* Lachy na strachy. Zawsze coś wymyślisz.

KSIĄDZ No, Jabłusiak? U ciebie raz zdaje się partyzanci świnkę bili. Podzielił się żołnierskim chlebem. Tylko, Boże broń, bez glindzenia, bez stereotypów. Atmosferę wzruszenia rozprowadzisz żartem...

KOMENDANT A może by się wstrzelić w nowsze dzieje?

JABŁUSIAK *(mle ożywiony)* Pod sam koniec jak było, nie? Wtedy, jak się Ludowa Polska wykańczała? O, wtedy to był rozkwit. Pewno, że pamiętam. Potem to już tak nigdy nie było.

KOMENDANT Chyba ty zgłupiałeś?

KSIĄDZ Bójcie się Boga, co on wygaduje?

JABŁUSIAK Komitet partii stanął...

KOMENDANT Opamiętaj się, Jabłusiak.

JABŁUSIAK Kościół stanął. Monopolowy my remontowali... Przedszkole my mieli... Co tam jeszcze...

KOMENDANT Teraz żeście mądrzy?!

KSIĄDZ Spokój, dzieci, po co się przekomarzać. Ustalimy wszystko bez gniewu, spokojnie. Czyli tak: ja, rozumiem się, zabieram głos jako pierwszy, w krótkim nawiązaniu do chrztu Polski. Następnie ty, Jabłusiak, wychodzisz...

JABŁUSIAK Nie wyjdę.

ŁOPUCHOWA Ja bym mogła.

KSIĄDZ No to... Wereda wychodzi i obwieszcza: w trzydziestym dziewiątym, gdy pierwszego września nawała hitlerowska wylała szlaban...

WEREDA E, Hitler to już u nas niemodny, proszę księdza. Opatrzył się. Niech ksiądz daje Stalina.

JABŁUSIAK Ja się nie liczę bez Hitlera.

KOMENDANT Uparty dziad... Nie możesz się na ten jeden dzień przerzucić przeciwko Stalinowi?

ŁOPUCHOWA I Stalin się opatrzył.

WEREDA Ruscy, jak szli na Berlin, to naszemu dziadkowi zegarek podebrali.

KOMENDANT *(sceptycznie)* Złoty?

WEREDA Czysty nikiel.

KOMENDANT Chodził?

JABŁUSIAK Dawniej wszystko chodziło. Ja ten zegarek pamiętam.

WEREDA Cebulasty, z łańcuszkiem.

JABŁUSIAK Łańcuszka nie pamiętam.

KSIĄDZ No, ale do roboty, kochani, do roboty. Patrzcie, jak już późno. Planujmy. Co do przemówień, to wyraźnie trzeba, wiecie, prosto, i żeby nie zanudzać. Czyli tak. Krótki rys historyczny naszej gminy ze szczególnym uwzględnieniem Konstytucji Trzeciego Maja, insurekcji, wszystkich powstań i stanu wojennego. Daję na to góra trzy kwadranse.

Ksiądz bierze Komendanta pod ramię. Wychodzą razem z Jabłusiakiem. Po dłuższej chwili Wereda sięga po kubek z farbą i pędzel. Wraz z Łopuchową wychodzą przed porno-shop.

WEREDA *(rozglądając się)* No jak tam? Wszyscy poszli?

ŁOPUCHOWA *(też nie przestając się rozglądać)* Spokojnie. Psa z kulawą nogą. Za czym by laził o tej porze. Pisz. *(zaczyna dyktować)* Wereda starannie, choć krzywo, wymalowuje na ścianie pod napisem „Precz z zacofaniem oraz z Łopuchową” kolejny „Łopuchowa — pierwsza dama byśnesu”.

WEREDA Gotowe. Łopuchowa, to niby jesteśmy za jednym zamachem i przeciwko wam, i za wami?

ŁOPUCHOWA Taki chwyt reklamowy.

WEREDA *(z podziwem)* Łopuchowa to się rozwinęła od państwowych czasów... za komuny nie ta sama była...

ŁOPUCHOWA No, trochę się maskowałam. Chodź już, chodź. Jutro znów się co napisze, jak Pan Bóg da doczekać.

WEREDA A ja tu jeszcze... Mam coś do załatwienia we wsi.

ŁOPUCHOWA Teraz, po nocy?! *(kręci głową)* Nie chodź tam, Wereda.

WEREDA A skąd Łopuchowej wiadomo, dokąd idę?

ŁOPUCHOWA *(z zaskakującą u niej serdecznością)* Nie trzeba. Nie pchaj głowy w stryczek. Porządny z ciebie chłop, chociaż niezyciowy...

WEREDA *(z wymuszoną wesołością)* Co Łopuchowa? Za wcześniej na mój pogrzeb.

ŁOPUCHOWA *(posępnie)* Głupszy niż myślałam. No trudno. *(odchodzi)*

Wereda osowiały, wyjmując z pazuchy flaszkę i zdrowo pociąga, wyraźnie — dla kurażu. Następnie zbliża się do ciemnego okna i uderza pięścią we framugę. Odpowiada nieartykułowany pomruk. Wereda uderza ponownie. Odzywa się zaspany głos.

ON Czego?

WEREDA Wstawać!

ON Ale co jest, jak pragnę zakwitnąć? Który tam się spił? *(podchodzi do okna. Widać — i to musi być zaakcentowane — tylko czarną sylwetkę, twarz pozostaje nierozpoznawalna)* Nasześ mnie znienacka, a tu łóżko skulmanione, gacie się walają...

WEREDA U mnie jeszcze brudniej, i co z tego.

ON *(wesół)* O co chodzi, chłopie? Co cię tak przypiliło? Akurat się zdrzemłem. Na podwieczór miałem wyjść do pola, motykować buraki, bo to człowiek przy tych papierach gotów całkiem odwyknąć od normalnego życia i do drewnutni zagładną, pomyślałem, przetnę ze dwa pieńki, no i sam rozumiesz, zmogło mnie. Tak to jest na stanowisku.

Cisza. Patrzą na siebie.

ON No, a z czym dobrym przychodzisz?

WEREDA Nie, ja tylko tak.

ON Na pewno?

WEREDA Nie będę głowy zawracał...

ON Nie obcyndalaj się chłopie, śmiało ze mną: gadaj, co cię gryzie?

WEREDA (zniechęcony, z zaskoczenia) Ty jesteś inteligent.

ON (zniechęcony) Coś powiedział?

WEREDA Nie powtórzę, nie będę gęby brudził. (jednak cofa się)

ON Ja inteligent?!

WEREDA Jesteś, jesteś. Ale już się naród na ciebie nie nabierze, już ludzie wiedzą, że ty masz rozum.

ON Myślisz?

WEREDA A na co tu myśleć. Wiem.

ON (twardym warszawskim akcentem) Chiba ja źle słyszę? Co wy, bracia Polacy, co wy szlogany na mnie wymyślacie? To już nie jestem swój człowiek? Lyteralnie omam na was padł, że rodaka bierzecie za yntelygenta. Kurdebalans.

Wereda patrzy, słucha. Jakby się wahał.

ON Ta, jak pragny Boga, ta komu wy si dali zbajerować, kto wam nabałakał na mni. Joj, mamciu ridna, ta czy ja w okularach chodzi, ta czy ja mam jaki meszty ekstra, albo specjalny szlic na marynarzy, że wy inteligenta zrobili z biednego batiaara... Bih me, taki sztemp, czubaryki gorzej by nie wymyślili... pod chajrem, nawet te murmyły...

WEREDA A polecisz?

ON Ty pociepie ognisty, nie fanzol, pierunie...

WEREDA Gadaj zdrów.

ON Odważny jesteś. To mi się podoba.

WEREDA Odważny nie odważny, a cygaństwa nie lubię.

ON I słusznie. Ale dużo myślisz, co?

WEREDA Tylko jak się napiję.

ON Wystarczy. Ano podejdź.

WEREDA (stropiony) Nie chcę.

ON (z rubasznym humorem) Chodź, chodź, bo pomyślę, że się boisz.

WEREDA (niecierpliwie) Ja? A w żadnym razie.

ON Bo i czego miałbyś się bać? Prawda?

WEREDA (zgnębiony) Pewnie, że prawda. (ale nie podchodzi)

ON Posiedzimy, przechylimy po kieliszku. Muszą być warunki do dyskusji. No, ale skoro się boisz...

WEREDA Ja? W życiu. (podchodzi)

Kotłowanina, łomot, wrzask. On z łatwością wciąga zaatakowanego zniechęconego Weredę do wnętrza. Już nic nie widać. Słychać tylko krzyk, a potem zdławiony pisk Weredy.

AKT III

Dekoracja jak w akcie pierwszym. Przybyły akcesoria frontowej czy partyzanckiej kwatery. Stół zawalony śrubami i innymi elementami stojącego w głębi pomieszczenia samolotu. Łóżko polowe z pościelą. Na ścianie prócz mnóstwa świętych obrazów Jego portret. On na razie odwrócony do nas plecami, przy Nim — Komendant.

A w gminie widoczne dalsze zmiany. Przybyło szyldów. „Sklep obuwniczo-masarski Alexis”, „Sklep warzywno-chemiczny Pacyfik”. „Pub u Stana”, „Krawiectwo męskie Rambo”, wypożyczalnia video „Danuśka”, kantor wymiany walut „Balcerrek”. Do gniazda bociana na budyneczku z porno-shopem przybita reklama przedstawiająca marynarza z Baltony, który niesie dziecko w powijkach. Nad sklepem Łopuchowej — nowy efektowny szyld z kolorowych żaróweczek. Oświetlenie wykonane identycznie jak girlanda żaróweczek na świętej figurze nieopodal.

Łopuchowa — prosto od fryzjera, w łowickim stroju ludowym, trzyma na tacy chleb i sól. Obok w stroju krakowskim Jabłusiak. Nieco dalej stoi Ksiądz z kropidłem. Atmosfera wyczekiwania. Transparenty: Wstrzymać wczoraj! Zaczekać jutro! Zmienić przeszłość! Nie tykać przyszłości! Święcić! Nie szargać! Nie naruszać! Pełnym głosem! Zamknąć usta! Polepszyć! Nie przedobrzać!

ON (spacerując. Manierą nauczycielską) No, a ty mi powiedz... Którędy do Europy. Wiesz?

KOMENDANT (uradowany, że nareszcie coś wie) Przez Zebrzydowice.

On przeczy niechętnym ruchem głowy.

KOMENDANT No to przez Zgorzelec...

ON Do Europy, tumanie, prowadzi droga przez demokratyzację życia. Jasne?

KOMENDANT Jeszcze jak.

ON Miło słyszeć. A co to, proszę ciebie, za diabeł, demokracja?

KOMENDANT (bez namysłu) Demokracja to jest najlepsza i jedynie słuszna.

ON Ale co?

KOMENDANT No jak to co? Demokracja.

ON Bardzo dobrze! No widzisz? Już się w tym wyznajesz. Właśnie, langsam, langsam, aber sicher.

KOMENDANT Rozkaz.

ON No to poćwiczmy. Którędy do demokracji?

KOMENDANT Przez Europę!

On przeczy ruchem głowy.

KOMENDANT Przez Kołbaskowo?

ON Do Europy, durniu, prowadzi droga przez ucywilizowanie społeczeństwa.

Masz się nauczyć pracować i zmieniać skarpetki.

KOMENDANT Ale...

On (zmienia nagle sposób mówienia) Stul już pysk. Nie przychodzisz tutaj pogadać.

Czekać, aż zapytam. Są nastroje?

KOMENDANT A skąd... Znaczy niespecjalnie..

ON Znaczy, że się boisz wykrztusić prawdę. No więc?

KOMENDANT Być, to jakby były.

ON Na elementarne pytanie tuman nie odpowiada. Ba-aczność! Kto ty jesteś?

KOMENDANT (prężąc się) Melduję posłusznie...

ON Słucham, słucham.

KOMENDANT (bezradnie) Melduję... (zaciął się, milknie)

ON Ano widzisz. Nie wiesz. I nikt nic nie wie. Tak bracie wyglądamy z naszą świadomością postkomunistyczną. (spaceruje) Tak, bracie, nie wszystko na raz, bo się pogubimy.

Daje ręką znak, że podwładny może odejść. Sam pochyla się nad samolotem.

Komendant za jego plecami przeży się, robi przepisowy w tył zwrot i wycofuje się na palcach. On wstaje, błogo przeciąga się w ramionach.

Pod oknem okrzyki. Wyrażające słowa: „chle-ba nie-ba! Ra-tuj tra-tuj! Niech żyje!...” Wychodzącego Komendanta biorą w obroty zaintrygowani Ksiądz z Jabłusiakiem.

JABŁUSIAK No jak?

KOMENDANT Rozmawiało się, i owszem. Po to mnie zaprosił.

KSIĄDZ (od niechcenia) A co mówił?

KOMENDANT Takie tam. Między nami.

KSIĄDZ To bardzo ciekawe.

Zebrani spoglądają na zegarki. Atmosfera wyczekiwania.

ŁOPUCHOWA Coś Weredy nie widać.

KSIĄDZ A rzeczywiście. Może jeszcze odsypia.

KOMENDANT Na pewno.

ON (podnosi się od stołu, ale nadal stoi plecami do widowni. Mówi do mikrofonu, słyszymy go z głośników) Dzieńdoberek! Fajno, że już nie śpicie, bo się stęskniłem za wami. Zżyliśmy się, no nie? Ja bez was jak ten palec bez ręki.

Okrzyki: *niech żyje wódz! Zostań z na-mi! Zo-stań z na-mi! Zo-stań z na-mi!*
ON Zostaje.

Frenetyczna radość.

ON Otóż to, mili państwo. Raz kozie mus. I nie szkodzi. Nie taka władza straszna, jak ją malują. Dlatego wychodzi na moje, że ktoś to musi zrobić. Ale, ponieważ chcieć to móc, idę naprzód do ostatniej chwili i jestem, z kim powinienem być, a nigdy odwrotnie.

KOMENDANT Dobrze przykład.

ŁOPUCHOWA Komu przykład?

KOMENDANT No jakże?!

ON Wody w tym miejscu i na dzień dzisiejszy nie zamierzam lać. Wnioskuje za wolnością kompletną oraz sterowaną. Poza wami palcem nie tknę, bo dopomocie. I ten program przynoszę. Możecie podzielać, możecie nie podzielać, za to musicie się zgodzić, że was nie zawiodę.

Okrzyki: *Da-nam-chle-ba-choć-nie-z nie-ba! Prowadź! Prowadź!*

ON Nazwaliście mnie wodzem. Twarde słowo, kochani, niebezpieczne, i jakby tu o kogo trzeciego szło — dałbym veto, że tak. Uczciwie mówię. To jest wielkie nasze szczęście, żeśmy na siebie trafili. Węzłowato mówiąc: nie przyszedłem tu na faramuchy, ani nie będę głupot bzdziukał, prawda? Śmiejemy się, bo zdrowo, poartujemy jak najbardziej, lecz ogółem trza brać na ostry luz...

Frenetyczna radość.

ON Nie znalazłem się tu między wami, żeby jechać wprost za siebie. Chcę żebyście w moim odniesieniu podnieśli konkretną robotę, a nie, że pieprzy gada tort zajada. Istnieje duża szansa, że nie będziecie się patyczkowali, czy temu podobne, bo napatyczkować to się każdy zdążył z tą... ynteligencją i ma potąd, nie?

Śmiechy. Przyjazny gwar.

JABŁUSIAK *(starczym dyszkantem)* Prowadź na Europę!

KOMENDANT *(zdetonowany, nie bardzo wie, jakie zająć stanowisko)* Cicho, Jabłusiak.

KSIĄDZ *(zdesperowanym głosem)* Jabłusiak!

JABŁUSIAK *(zdumiewając u niego, literacką polszczyzną)* Sięga pan do przestarego repertuaru, komendancie. Mierzi mnie to już. Poza tym nabrał się pan na mnie. Nie jestem żaden... *(jednak zaciął się. Szuka trudnego słowa w pamięci)*

KOMENDANT *(zaintrygowany)* Co nie jesteś?

JABŁUSIAK *(przypomniał sobie. Z ulgą)* Kunktator.

KOMENDANT *(bezzadnie)* Takie kwiaty.

JABŁUSIAK Takie, takie.

Popatrują po sobie w milczeniu.

JABŁUSIAK No to cześć, bo mi się spieszy. *(wycofuje się z rękami w kieszeniach, pogwizdując)*

ŁOPUCHOWA Żeby tylko gorszej biedy z tego nie było, Chryste Panie...

KSIĄDZ Ale co z tym Weredą? Zniknął człowiek bez śladu. Pod ziemię się zapadł?

KOMENDANT *(bagatelizując)* Znajdzie się, proszę księdza, albo jego znajda.

ON *(głuszą go brawa wiecujących)* ...ja nie popuszczę, nie mam do tego charakteru. Na hop i olaboga każdy umie, byle my z tych. Galopem czy na styk, nie zaopiniujemy. *(rzęsiście brawa)* Tolerancję swoją ścieżką robimy i będziemy robić. Dla zasługujących. Chcecie znać mój program?

ZEBRANI Wierzmy ci! Niech ży-y-je-e.

ON Program jest i we właściwym czasie wypłynie ta oliwa...

Oklaski.

ŁOPUCHOWA Namysliłam się.

JABŁUSIAK A względem czego?

ŁOPUCHOWA Względem polityki. Nie będę się w to pchała.

JABŁUSIAK *(nie dowierzając)* To już do senatu nie chce?

ŁOPUCHOWA Zrzekam się.

JABŁUSIAK Na wyzwanie cywilizacyjne nie odpowie?!

ŁOPUCHOWA Za nic.

JABŁUSIAK Jedzie ktoś! Taksówkę słyszał!

Wchodzi Dziennikarz obwieszony efektownym sprzętem reporterskim. Obydwaj z Komendantem udają, że się widzą po raz pierwszy w życiu. W dodatku Dziennikarz zachowuje się jak cudzoziemiec. Klepie bochenek po spieczonej skórce, a Łopuchową po policzku. Komendant z Jabłusiakiem biją brawo.

ŁOPUCHOWA *(zachęcająco)* Mniam-mniam. *(cmoka wskazując chleb)*

DZIENNIKARZ Mni-am mni-am? *(śmieje się i cmoka Łopuchową w policzek)*

KOMENDANT *(do Łopuchowej)* Wont stąd.

Z szerokim uśmiechem wypycha szklanę do rąk Dziennikarzowi, który teraz cmoka Komendanta. Wypijają wódkę. Dziennikarz zakrzuszył się. Po kilku rozpaczliwych próbach bierze bochenek pod brodę, bo inaczej — z uwagi na swój sprzęt — nie może sobie z nim dać rady, i prowadzony przez Komendanta, kieruje się do izby.

On tam jest — nadal nie znamy jego twarzy, bo się nie odwrócił. Dziennikarz chce do niego podejść. Komendant nagle zdejmując z ramienia karabin i powstrzymuje Dziennikarza jednoznacznie, choć wypranym z emocji ruchem kolby.

KOMENDANT Paszport! *(przegląda go kartka po kartce, długo — i nie bardzo wiadomo, czy interesują go podróże posiadacza paszportu, czy też wizerunek samej osoby, jak obrazki z nieznanego świata. Już zamykając paszport, znów wraca do pierwszej strony, żeby porównać zdjęcie z oryginałem)* Legitymacja! *(znów długo patrzy na okazaną mu legitymację, to znów — dla porównania — na jakiś papier, który ma na stole w dyżurce. Zwraca dokument. Wyjmuje owinięte w gazetę dwie pajdy chleba, rozdziela, ogląda, jakby się namyslał, od której zacząć. Je. Żując, nie patrzy na przybyłego, tylko na jego sprzęt)*

DZIENNIKARZ Smacznego! To domowy chlebuś?

Cisza. Komendant obrzuca go nic nie mówiącym spojrzeniem, nie przestając żuć. Je po chłopsku, głośno i starannie. Dopiero po dłuższej chwili milcząco pokazuje Dziennikarzowi, że może iść do Niego. Gdy jednak Dziennikarz idzie we wskazanym kierunku, Komendant wstrzymuje go kolbą karabinu, a wolną ręką — lekko zgitym palcem, od niechcenia — postukuje w kamery przewieszone przez ramię Dziennikarza.

DZIENNIKARZ *(ociągając się)* Mam zostawić?

Potwierdzające skinienie.

DZIENNIKARZ Nic nie rozumiem. A zdjęcia? Przecież muszę Go sfotografować?!

Komendant w milczeniu wskazuje na magnetofon.

DZIENNIKARZ Nie wolno mi nagrywać wywiadu?

Komendant nie reaguje. Dziennikarz — choć z ociąganiem się — kładzie sprzęt na stole. Komendant, który znów wziął się do jedzenia, niedbale przesuwając kamerę na brzeg stołu, żeby mu nie zawadzała.

DZIENNIKARZ *(niespokojnie)* Hej, to nie jest worek z kartoflami!

Podbiega, żeby przywrócić kamerze bezpieczne położenie. Komendant nie odzywa się, nawet nie spojrzał, tylko dokładnie w taki sam sposób, jak przed chwilą — łokciem — przesuwając na krawędź stołu drugi aparat. Co uczyniwszy, kotłuje się na krześle, nadal pogryzając chleb. Dziennikarz wchodzi do Jego kwatery.

ON Witam, witam w jaskini lwa. Proszę się czuć swobodnie. *(do Komendanta)* Na razie nie będziesz mi potrzebny. Możesz się odmeldować.

KOMENDANT *(prząc się)* Rozkaz. *(z powrotem zajmuje swoje krzesło w głębi pomieszczenia)*

ON *(bagatelizując)* Woli być pod ręką. Bardzo oddany człowiek. Bardzo. *(wreszcie wychodzi z cienia. Jaki jest, na kogo wygląda, kogo przypomina lub nie przypomina — zostawiam wyobraźni reżysera)*

DZIENNIKARZ W imieniu czytelników, a i własnym, z góry dziękuję za zgodę na rozmowę, panie... *(zawahał się)*

ON (*pobłażliwie*) Proszę mnie nie tytułować. Jeszcze nie. (*podąga za bitym w swój portret na ścianie wzrokiem przybyłego*) Aa, znowu? No tak, komendant zawiesił. Nie mam już siły do tego idioty. Jak go obsobaczę, to zdejmuję na pół godziny — ale wystarczy, żebym do kibla wyszedł, natychmiast portret jest z powrotem na swoim miejscu.

DZIENNIKARZ Właśnie, właśnie. Na swoim miejscu.

ON Co na pańskim miejscu też przyjąłbym z ironią. Ale niechże pan siada, bardzo proszę. Zaraz nam podadzą kawę. Łopuchowa już na pewno parzy. Przynajmniej tego się baba nauczyła. (*zagląda do barku*) Koniak? Whisky? Chyba ma pan trochę czasu. To dobrze. Odtąd chciałbym unikać pośpiechu...

Sączą alkohol, obserwując się w milczeniu.

ON Zaskoczyłem pana, wiem...

DZIENNIKARZ Słabo powiedziane. Pan w roli prostaka... niesamowita historia.

Nie miałem pojęcia, jadąc tutaj. Jeszcze teraz... No nie! Nie uwierzę.

ON Drogi panie, to tylko te sfabrykowane sytuacje są poza podejrzeniem. Dopiero prawda przeważnie spotyka się z wątpliwościami.

DZIENNIKARZ Chciałbym już zacząć nagrywać. Pozwoli pan...

ON Za chwilę. Na wszystko jest czas. Proszę się nie obawiać, sprzęt nie zostanie zniszczony.

DZIENNIKARZ Niezbyt sympatycznie to zabrzmiało. A więc są powody do obawy?

ON O kamery?

DZIENNIKARZ Nie myślałem o sprzęcie.

On w milczeniu wzrusza ramionami.

DZIENNIKARZ Tak czy inaczej, zachęcam pana do maksymalnej szczerości.

On zaczyna się serdecznie śmiać.

DZIENNIKARZ Do szczerości, osiągalnej dla roztropnego polityka.

ON To brzmi lepiej.

DZIENNIKARZ Wie pan, ta absurdałna historia z samolotem...

ON Doprawdy, przedostało się to do was? Bzdura, oczywiście. Przez ułamek sekundy nie traktowałem tego poważnie. Bierze mnie pan za samobójcę? Nie polecałbym i najprawdopodobniej nikomu bym nie pozwolił, nie wyłączając sklerotycznego Jabłusiaka, choć dziad aż się prosi o nauczkę. Taak. Jednym słowem, przyjechał pan w poszukiwaniu Ikara... (*śmieje się*)

DZIENNIKARZ Pański... personel dość stanowczo sprowadził mnie na ziemię. Razem z kamerami, a to są kosztowne zabawki.

ON Prosiłem, żeby się pan nie denerwował. Czyżbym wyglądał na człowieka, którego powinien się pan bać?

DZIENNIKARZ Bo ja wiem? Przyjęcie było dość niepokojące.

ON Intuicja, co? Ach, mój drogi, nie przywiązujemy nadmiernej wagi do wrażeń, aczkolwiek pan z nich żyje... Ale, ale, chyba tym razem mam przyjemność z przybysem z Zachodu?

DZIENNIKARZ Tak, już tak.

ON No to jesteśmy w domu. Uległ pan tamtejszej mentalności. Wszystkiemu winna wasza nieuleczalna podejrzliwość w stosunku do nas. W tej swojej zapyziałej Europce nie możecie się pogodzić z ewentualnością, że na wschód od Sekwany czy Mozeli ludzie także chodzą na dwóch nogach. Buty są gorsze, a nogi rzadziej myte, lecz dwie, dwie, pomimo wszystko. (*zaczyna spacerować po izbie*) Byliśmy i pozostaniemy podejrzani.

DZIENNIKARZ No, no, nie jest aż tak źle, jednak poszło się w cenę na światowej giełdzie... Z pewnością nikt nie lekceważy zdarzeń tutaj...

ON Bo nie można. Bo trzeba jeść tę żabę. Człowieku, przecież wiem, jak was drażnią państewka chronicznie nieszczęśliwe, do znużenia waleczne, obławowane mitami i długami.

DZIENNIKARZ Aż żaba w gardle staje. Tak zupełnie między nami, to dławić nie dławi. Mdli.

ON Co jest jeszcze gorsze.

DZIENNIKARZ Pozostawałoby jedno wyjście, zmienić się...

ON Kiedy nie sposób. Przeszłość nie pozwoli. Ona nas zdominowała, przeszłość, niezmierzona przeszłość, na każdym kroku, przed każdym zuchwałstwem, przed każdą nieobliczalnością przeszłość, przeszłość, przeszłość... W tym kraju nie ma miejsca na jutro.

Dziennikarz notuje.

ON Pan to może zapisać, ale nie zrozumieć. Znadto pan już wsiąkł w Europę.

DZIENNIKARZ A tak przy okazji, czy pan im się kiedykolwiek przyzna?

ON (*śmieje się*) Za wcześniej na odpowiedź. Ileż ja jestem przy władzy? Pięć minut? Dziesięć?

DZIENNIKARZ Powiedzmy — kwadrans.

ON Pogadamy po drugim.

DZIENNIKARZ A pana zdaniem...

ON Odczekajmy ten kwadrans, zgoda?

DZIENNIKARZ Czy mogę być szczery?

ON (*śmieje się*) A czyż nie jesteśmy? Obydway?

DZIENNIKARZ Pan się ich trochę... obawia?

ON Pewnie tak, ale to już w tej chwili bez znaczenia. A propos: proszę tu położyć magnetofon.

DZIENNIKARZ Przecież mój magnetofon oddałem Komendantowi...

ON Ale ma pan drugi. No, proszę mnie nie zrażać do siebie.

Dziennikarz niechętnie, jednak wyjmując spod marynarki małą manetofon i kładzie na stole. On sprawdza, czy wyłączony.

DZIENNIKARZ W takim razie po cóż mi pan mówi o tym wszystkim?

ON Z najprostszego powodu, jaki kiedykolwiek istniał. Muszę się wygadać.

DZIENNIKARZ Wprawdzie obrał mnie pan z magnetofonów, niemniej słyszę, zapamiętuje... i wyjadę, mam nadzieję.

ON Oj dzieciaku, dzieciaku. Cykorii chłopak dostał. Teraz nic tylko czekasz, czy ci fanę zasunę. Bo to z władzą nigdy nie wiadomo, oj, nie. (*figlarnie wygraża palcem*). Już dobrze, redaktorku. Bez poruty. Nie pękaj. (*śmieje się*) Wystraszyłem pana?

DZIENNIKARZ Gdzie tam.

Śmieją się obydwaj.

DZIENNIKARZ (*wskazując za okno*) Kogoś chyba brakuje do kompletu.

On przekręca kontakt. Z ciemności wylania się dotąd niewidoczna część izby — typowa cela więzienna oddzielona kratą, za którą siedzi Wereda.

DZIENNIKARZ Jakiś żart makabryczny...

ON Nie można pozwolić wejść sobie na głowę. Chciałem to załatwić dopiero po uroczystości, ale nie sposób, nie sposób.

Wereda porusza wargami — najwidoczniej coś mówi czy nawet krzyczy, lecz go nie słychać.

ON (*śmieje się, przyjaźnie macha ręką więźniowi*) Prowokuje, spryciarz. (*do Dziennikarza*) Koniaczkę jeszcze? Po cóż to zdenerwowanie. Siedzi sobie jak u Pana Boga za piecem, ciepło, sucho, no, może trochę ciemnowo...

DZIENNIKARZ Wie pan, jednak nie spodziewałem się. I to teraz, kiedy zasadniczo już jest po wszystkim...

ON Obydway wiemy, że nie jest po wszystkim. Nie rób ze mnie durnia, ty... zachodni człowieku.

Wereda wciąż daje gwałtowne znaki, że chce mówić.

ON Mój lokator ma panu coś cennego do przekazania. (*włącza komunikację dzwiękową z celą*)

ON No słucham?

WEREDA Jakim prawem mnie tu trzymasz?

ON Moim.

Jabłusiak wnosi dwie kawy. Bez cukiernicy.

ON Siermiężnie, co? Ale niech się pan nie zraża, przy następnej wizycie będzie lepiej. Po co się przesadnie spieszyć, płoszyć ludzi... Nic na chłama, oto moja dewiza. *(bierze szklanki z kawą)* Znowu cukier w środku. Nie oducz się hołota. Jabłusiak!

JABŁUSIAK *(wraca niosąc cukiernicę)* Od razu mówiłem, że za słabo posłodzone. *(dosypuje bez pytania)*

WEREDA *(do Jabłusiaka)* Szwagier!

Jabłusiak udaje, że nie słyszy.

WEREDA Pomóż, szwagier.

JABŁUSIAK *(bardzo donośnie)* Takie mi tam szwagrostwo, przez przyrodną siostrę.

WEREDA Zrobisz co dla mnie? Szwagier?

JABŁUSIAK Trza było wcześniej w układ wejść.

WEREDA *(błagalnie)* Pomóż. Nie bój się, Jabłusiak.

JABŁUSIAK Jak ja siedemdziesiąt z górą chwalić Boga przeżyłem, to nie będziesz mnie uczył, kiedy warto się bać, a kiedy nie.

ON Będą z ciebie ludzie!

WEREDA *(napinając ręce na kratkach, wyraźnie próbując ich wytrzymać)* Ale ja źle nie chcę.

ON Widzę.

WEREDA Co bym tam miał chcieć. *(zaciska ręce na kratkach, twarz zmieniona od wysiłku i wściekłości)*

On spogląda na Dziennikarza, rozkładając ręce. Chwila ciszy.

WEREDA *(z nadzieją)* No to jak?

ON Przykro mi, Wereda.

WEREDA *(przygaszony)* Ale, panie...

DZIENNIKARZ Przecież to wszystko razem wzięte jest... *(szuka odpowiedniego określenia)*

ON *(łagodnie)* No, jakie jest? Chętnie usłyszę.

Dziennikarz milczy.

ON Też tak myślę. *(po chwili z oficjalnym uśmiechem)* Jestem do dyspozycji.

DZIENNIKARZ *(wraca do roli prowadzącego wywiad)* Jakie są pańskie plany?

ON Moje i mojego rządu, chciał pan powiedzieć. Będę się kierował również opiniami rządu. Hotelarstwo, bo może zrobimy w kraju zagłębie turystyczne, rolnictwo, przetwórstwo... Przemysł, nie przesadnie... Ale doprawdy, zostawmy to na później. Dostaję gminę dopiero co sfastrygowaną, i w tej sytuacji mówić o programie... *(z uśmiechem)* A co? Jestem za szczerą? Przecież życzył pan sobie poważnej rozmowy. Otóż czeka mnie cholerna robota. Nie przesadzam. Cholerna. No bo spróbuj pan być mądry w takim interesie, dopasuj ich pan do siebie, pogódź, poustawiaj w mniej więcej normalne społeczeństwo tych intelektualistów chorych na Europę, tych robociarzy rozleniwionych, ale głodnych, czy chłopstwo rozżarte, rozprażone nadziejami, które bez umiaru ładowaliśmy im do zawieszonych łbów...

DZIENNIKARZ Pan momentami pozuje na cynika...

ON *(ze szczerym zdziwieniem)* Nie jestem nim.

DZIENNIKARZ Co już zauważono.

ON *(cicho)* Tutaj?

DZIENNIKARZ Nie, nie tylko.

ON Czyli że mam szansę.

DZIENNIKARZ W każdym razie już się komentuje pańską skłonność do metod... jakby to powiedzieć...

ON Rygorystycznych? A stuknijcie się w te zakute europejskie łby. Komu tu potrzebna demokracja? Powyrastało to na mrzonce i na bzdurze, rozbisurmano się, rozmodliło do własnych przywar, rozlubowało w zawracaniu Wisły kijem... Im cieniej przęda, tym głośniejszą będą się przed panem kogucić i nabzdyc-

czać. No, ale ja mam świadomość, że żyję w kraju, w którym najchętniej akceptuje się budowy rozpoczynane od dymu z komina.

Tymczasem w tłumie manekinów nagle zmiana nastroju.

Wśród zebranych za oknem pomruki — jeśli to manekiny, głosy mogą być z taśmy.

DZIENNIKARZ Coś się dzieje?

ON Nonsens. Po co to przewrażliwienie? *(jednak przywołuje gestem Komendanta)* O co im znów chodzi?

KOMENDANT Melduję posłusznie, że przestoje w pracy są nie usprawiedliwione oraz bezpodstawne. Na dzień dzisiejszy nie wynalazłem powodów do niezadowolienia.

ON Czyli z nudów grymaszą. Tak jak przypuszczałem.

KOMENDANT Wyłącznie z nudów.

ON Tak przypuszczałem. Oczywiście, gdybyśmy musieli sięgnąć po środki nadzwyczajne, co z góry wykluczam...

KOMENDANT Ja też. Wszystko przygotowane.

ON Z przykrością o tym mówię, jednak nie wolno się dać zaskoczyć, pod żadnym pretekstem. *(do Komendanta)* Zgodzisz się ze mną?

KOMENDANT *(rozjaśniony)* No...

ON W porządku. *(wręcza Komendantowi paczkę dobrych papierosów)* Idź, popał sobie. Tylko z daleka od samolotu, bo benzyna.

KOMENDANT A przecież *(wychodzi po przepisowym w-tył-zwrot)*

ON Benzyny wprawdzie nie ma, i on o tym wie, wszyscy wiedzą, ale... *(przechodzi do kąta, gdzie leży wrak samolotu. Szpera pod górą żelastwa. Wywleka jedno sfatygowane koło, potem drugie — większe)*

ON Proszę uprzejmie. Miało nie być żadnego, a są, prawda? Obydwa. *(poklepuje koła)* Dojście do władzy to w gruncie rzeczy kwestia pomysłu, redaktorze. Kwestia jednego dobrego pomysłu.

DZIENNIKARZ A utrzymanie władzy?

ON Pomyślę. *(patrzy na Dziennikarza)* Lubi pan swoją pracę?

DZIENNIKARZ W każdym razie nie miałbym ochoty na inną.

ON Trochę ryzykowna.

DZIENNIKARZ Dlaczego pan o tym mówi?

ON Tak, bez powodu.

DZIENNIKARZ *(z uśmiechem)* Zdaje się, że teraz powinienem wpaść w panikę?

WEREDA *(gorzko)* Rychło w czas!

ON *(śmiejąc się)* Oj, Wereda, Wereda. To w tobie lubię. Tę nieuleczalną podejrzliwość chłopską, a i zadziorność desperacką. Dlatego też tolerowałem, boś był chamidło na schwał, biedak modelowy.

DZIENNIKARZ Mój Boże, a ja czytywałem pańskie publikacje...

ON *(niegrzecznie)* O czym my mówimy? Człowieku, zrozum, to już nie jest zmiana ekipy, to jest zmiana epoki.

DZIENNIKARZ *(notując)* Dobrze. I to damy pod zdjęcie. Pierwszorzędna gra słów. No, profesorze, czyli coś nam zostało z tych lat. Ja do dzisiaj pamiętam pańskie wykłady, które skrzyły się od bon motów...

ON Bon won, mot szmot. Lepiej sprawdźmy, co też się tam dzieje. *(wychyla się przez okno)* Wyglądam do was kochani, bo wyczułem potrzebę. Co jest? Co was boli w danej chwili? Ja już czuję, żeście się nasłuchali głupot. Może pogłoska jaka krąży. W gazetach nabzykane jest... No nie, kochani, pod chajrem, bądźmy poważni ludzie. Chiba macie jak najbardziej białą na czarnym, że nie jestem żaden kręt, żaden tam... profesor czy papuga od języków zagranicznych. Ja wchodzę otwarcie i ze sprawiedliwością. My robimy system i w tym danym systemie nawet inteligent będzie mógł żyć, bo każdy jeden dostanie prawo do życia, ale bez przesady. Na początek to jest ważne, żeby zapanowała sprawiedliwość, a reszta to się sama robi.

GŁOS I Dobrze pomyślane.

GŁOS II Tego człowiek wcześniej nie usłyszał.

GŁOS III A skąd.

ON Kość z kości waszej, kurdebalans, jestem i krew z krwi... ci skubańcy labidzą, czy mnie frak pasuje albo dana mucha do danej kamizelki... Że w tem miejscu fru fru fru i fiu fiu bzdziu, tu spineczka gumeczka tam szmatka krawatka? Przystrojony, jak choinka na Boże Narodzenie, kurcze, a pomimo to swój gość, facet z waszego zamówienia. *(teraz już mówi tylko do Dziennikarza)* Wynieśliście go wysoko, ale on nie zdradził, to nie renegat żaden, ten przynajmniej nie zdradzi, przy nim obejdzie się bez oszukaństwa. Swoją gość, w dalszym ciągu. Władza go nie wypaczyła, nic podobnego, po urzędowaniu natychmiast daje dyla od wykwintu życia, w domu jest u siebie, tak, znowu jest prawdziwy, znaczy: klnie, odlewa się do umywalki, moczy nogi w cebrze, a obiad zjada w kuchni na ceracie, obrus niepotrzebny, i w samych gaciach siedząc, żeby nie poplamieć spodni. Chodzi na bosaka, gacie mają troki, wszystko jak trza, jak za dziada pradziada. Dom ciepły, z braku laku pod pierzyną małżonka, wianek dzieci, a schabowy ciut-ciut, tak do smaku, ledwo-że, zajeżdża od kości, czyli wszystko w największym porządku, jak na dzień dzisiejszy, ale nie. Za mało. Dobrze mu, a przecież wyciera zatłuszczoną gębę w rękaw z poczuciem niezaspokojenia. A czemu? Bo świadków brakło. Jemu już trzeba świadków. Popadł w nałóg. Żąda publiczności. Cóż za satysfakcja, kogucić się do lustra, puszczać baki w sedes... *Wchodzi Jabłusiak ze świeżą porcją kawy. Tym razem niesie szklanki na tacy, na której stoi również cukiernica.*

JABŁUSIAK *(wskazując na cukier)* Nie żalowali my, po trzy łyżeczki na szklankę, i każda z czubem, sam dopilnowałem, ale jakby im było mało, to sobie dosłódzą. *(wychodzi)*

ON A widzi pan? Już jest pewien postęp.

Dziennikarz milczy, patrząc na portret ponownie zawieszony przez Komendanta. On to zauważył i niecierpliwie zdejmując portret, który Dziennikarz bierze do rąk, żeby się lepiej przyjrzeć.

DZIENNIKARZ Kim pan jest, właściwie?

ON *(wesół)* Chiba masz pan jak najbardziej białą na czarnym, że nie jestem żaden kręt, żaden tam... profesor czy papuga od języków zagranicznych. *(urywa)* Zgoda, nie są to środki... chwalebne, ale coś poradzimy? Lud musi mieć jasełka. *(do Weredy)* Prawda, mój kochany? Dobrze mówię?

WEREDA Naigrawać się tu będzie, psia jego krochmalona... A zaufaliśmy. Posiał wiarę. Sam agitowałem: za nim chłopcy. I przy nim. Przynajmniej ten nas nie oszuka, a gdzieżby, a skąd. Było mówione? Jego władza nie zepsuje. Człowiek! Tak to było.

ON Będzie nadal, kochany. Masz to u mnie. I nie przejmuj się. Nie myśl tyle. Nie trzeba. Szkoda zdrowia.

WEREDA O, takiego. *(pokazuje na łokciu)* Ja ciebie... Ja ciebie... przed narodem... zdu...nie, zaraz. Zduk... Jak to idzie... *(szuka słowa)* Zdykon...

ON Zdekonspiruję.

WEREDA Tak jest. To ci zrobię.

ON Rozumie się. Natychmiast, gdy stąd wyjdiesz. *(daje znak Komendantowi, który podchodzi do mikrofonu)*

KOMENDANT *(odczytuje tekst)* Nasze dzisiejsze święto zostało zakłócone przez przykry incydent. Zaginął przedstawiciel bulwarowej agencji zachodniej, który mimo wielokrotnych przestróg, że niebezpiecznie jest poruszać się samopas po terenie zdewastowanym przez dziesięciolecie komunistycznego bezhołowania, rabunkowej gospodarki i zaniedbań, uparcie kręcił się nad nie uregulowaną rzeką...

DZIENNIKARZ Panie profesorze!

ON Przykro mi, że nie mogę panu pomóc.

KOMENDANT Co do zaginionego, który po raz ostatni widziany był z miejscowym chuliganem Weredą w pobliżu przeznaczonego oczywiście do rozbiórki

mostu Tysiąclecia, istnieje uzasadnione przypuszczenie, iż mimo ostrzeżeń ze strony pozostałych uczestników uroczystości mógł ulec poważnemu wypadkowi...

Portret wysuwa się z rąk Dziennikarza na ziemię.

ON O, niedobrze. Szklenie u nas jest kosztowne, coś zresztą nie jest. Poza wszystkim... Nie sądzi pan, że szkoda tego portretu?

Wchodzi Komendant z Jabłusiakiem. Dziennikarz podnosi portret ze strzaskanym szkłem, jakby chciał się nim zasłonić.

DZIENNIKARZ *(ochryple)* Mogę zapalić?

On pobłażliwie wzrusza ramionami. Dziennikarz powoli kładzie portret na stole obok swoich kamer. Komendant strąca jeden aparat kolbą. Nikt się nie odzywa. Komendant spogląda na Jabłusiaka, który boczkiem, wstydliwie, przysuwa się do stołu i też strąca kamerę.

JABŁUSIAK *(nadmiernie głośno)* Ja jestem na służbie.

WEREDA *(modlitewnie)* Biedny, biedny narodzie, oj, marne twoje jutro, oj, oj, mamusiu złota, a na cóż ty mnie na świat wydała...

ON Zamknij się, Wereda. Nudzisz.

WEREDA Panie, wiesz pan co? My tu za panem szli, jak ogień do ćmy. Niech by kto napierał, żeś pan umysłowy, zatłuklibyśmy. Z czystego serca. Na śmierć. Tak, panie. Wielkim płomieniem my się rozpalili...

ON Nie nudź. *(do Dziennikarza)* Doczekam się wdzięczności. Może ruszam z miejsca krzywo jak pijak, ale wyprowadzę kraj na proste. Tylko dajmy sobie szansę. Uu, jak ja was zaskoczę!

DZIENNIKARZ *(z niedowierzaniem)* Ejże, pan chyba mówi serio?

ON W przyszłości i tego nie wykluczam.

Komendant „dobija” kamerę nadeptując na nią. On daje znak. Komendant z Jabłusiakiem chwytają Dziennikarza pod ramiona i wywlekają gdzieś w głąb izby. On nawet już nie spojrzął.

WEREDA Dobrze mu tak, demokracie! A Judasze psiakrewskie.

ON *(znów podnosi koła samolotu, porównuje, przykładając do siebie. Różnica wymiarów bije w oczy)* Polecimy, dlaczego nie. Gdyby się udało...

WEREDA Znowu mamisz, szatanie?

ON Powiedziałem, że się robi, to się robi. Bez obaw. Polecimy. A wtedy to już spokojnie biorę się za resztę.

Kurtyna